



RIOT HOUSE

CROOKED SINNERS #1

CALLIE HART



Tytuł oryginału

Riot House

Copyright © 2020 by Callie Hart

All rights reserved

Copyright © for Polish edition

Wydawnictwo NieZwykłe Zagraniczne

Oświęcim 2023

Wszelkie Prawa Zastrzeżone

Redakcja:

Agnieszka Sajdyk

Korekta:

Klaudia Zając-Kwiecień

Karolina Piekarska

Redakcja techniczna:

Paulina Romanek

Projekt okładki:

Paulina Klimek

www.wydawnictwoniezwykle.pl

Numer ISBN: 978-83-8320-436-9

CALLIE HART

RIOT HOUSE

CROOKED SINNERS #1

TŁUMACZENIE

PAULINA WIĘCEK

OŚWIĘCIM 2023

*Dla Gemmy i Kylie, dzięki którym nie zwariowałam.
Przynajmniej nie do końca.*

PROLOG

Nie mogłam się ruszyć nawet o centymetr.

Przedzierający się przez malutkie otwory okropny smród zgnilizny przyprawiał mnie o mdłości. Zwymiotowałam już cztery razy w ciągu... Nawet nie wiedziałam, ile czasu minęło. Ale nie to było najgorszą częścią tego koszmaru.

Największą grozę budziło we mnie to, że nie wiedziałam, kiedy wróci.

Noc przechodziła w dzień, dzień w noc, noc w dzień.

Moje skrępowane ciało było sine z braku dopływu krwi.

Pomyślałam, że mogę tu umrzeć.

Śmierć byłaby lepsza od tego, co czułam.

Jednak nie umarłam. Oddychałam dalej, niesiona na spirali coraz mniej zrozumiałych myśli, które finalnie przybrały formę tępego dźwięku.

Wszystko, co mi pozostało, to trwanie w wymuszonej pozycji.

Kłęczenie i czekanie.

1

ELODIE

Kurwa, co za szczęście, że jest ciemno.

Nie ma nic gorszego, niż pojawienie się w nowej szkole w środku dnia.

Limuzyna trafiła na dziurę w drodze, przez co podskoczyło całe auto, a ja poczułam nadciągającą falę paniki – ot, automatyczna i niezbyt przyjemna reakcja po dwóch latach życia w strefie działań wojennych. I nie chodzi o to, że mój poprzedni dom znajdował się w Izraelu. Rzecz w tym, że mieszkał w nim również pułkownik Stillwater – mój ojciec, który lubił spuszczać mi łomot w czasie wspólnych treningów krav magi w każdy weekend.

Nadał się wzdrygałam, słysząc, jak ktoś odchrząkiwał. Gdy tak robił mój kochany tatuś, to zwykle oznaczało, że zaraz zostanę przez niego ponizona lub w jakiś sposób zawstydzona. Czasami potrafił zafundować mi obie te rzeczy za jednym razem.

– Wygląda na to, że zostawili dla panienki włączone światła, panienko Elodie – rzucił kierowca przez otwartą szklaną przegrodę, oddzielającą jego siedzenie od części pasażerskiej.

To były pierwsze wypowiedziane przez niego słowa, odkąd odebrał mnie z lotniska i zapakował na tyły czarnego, błyszczącego auta. Potem tylko wcisnął pedał gazu, żeby pomknąć na północ, w stronę Mountain Lakes w stanie New Hampshire.

Z ciemności wyłonił się budynek. Miał mnóstwo ostrych, kanciastych wieżyczek, przez co wyglądał jak architektoniczny twór rodem ze stronic tanich wiktoriańskich nowelek. Nie mogłam patrzeć zbyt długo na tę majestatyczną konstrukcję. Odwróci-

łam wzrok od okna. Skupiłam się na ulotce, którą rzucił we mnie pułkownik Stillwater chwilę przed tym, gdy bezceremonialnie oznajmił, że przeprowadzam się do Stanów Zjednoczonych. Bez niego. Wpatrywałam się w nią, dopóki imponująca fasada akademii nie zapisała mi się w pamięci.

Korty tenisowe.

Basen.

Sala szermiercza.

Salonik dyskusyjny.

Biblioteka upamiętniona w 1793 roku przez samego George'a Washingtona.

W teorii wszystko wyglądało pięknie. Potwierdzać miały to słowa ojca, który burknął tylko, wrzucając moją walizkę do takówki: „Wszystko, co najlepsze dla Stillwaterów”. Wtedy zostałam wyrwana z dotychczasowego życia w Tel Awiwie.

Od razu wiedziałam, że te udogodnienia są tylko grą pozorów. To miejsce nie było zwykłą szkołą dla zwykłych dzieciaków. Zdawałam sobie sprawę, że jest to po prostu areszt udający placówkę edukacyjną. Dzięki niemu oficerowie armii, podrzucający tutaj swoje pociechy, mogli pozbyć się wyrzutów sumienia. W końcu Wolf Hall gwarantowało iście wojskowy nadzór.

Wolf Hall.

Jezu Chryste.

Nawet nazwa tej szkoły brzmiała, jakby należała do pieprzonego więzienia.

Uciekałam coraz bardziej w swój wewnętrzny świat, by nie dopuszczać do siebie tego, jak będzie wyglądać moja nowa rzeczywistość. Może i w Tel Awiwie nie mogłam się pochwalić jakąś szczególną popularnością, ale miałam tam przyjaciół. Eden, Ayala i Levi jeszcze przez następną dobę mieli nic nie wiedzieć o tym, że zmieniłam szkołę. Nie mogli mnie uratować przed przeznaczeniem. Wiedziałam, że sytuacja była beznadziejna, jeszcze zanim wiozący mnie samolot wojskowy wzbił się w powietrze.

Tymczasem, gdy samochód zaparkował tuż przed obszernymi marmurowymi schodami prowadzącymi do głównego wejścia akademii, byłam już mentalnie kilka kilometrów stąd. Jeśli tylko mogłabym o tym decydować, to fizycznie również już bym tam była.

Silnik zgasł, a limuzynę wypełniła niezręczna cisza, od której dzwoniło mi w uszach. Po chwili zorientowałam się, że kierowca czekał, aż wysiądę.

– To... wezmę swoje rzeczy?

Nie chciałam tam być. A już na pewno nie powinnam sama mocować się z własnym bagażem. Nigdy nie doniosłabym na kierowcę – to nie w moim stylu – ale ojciec dostałby wylewu, gdyby się dowiedział, że facet, któremu zapłacił za eskortowanie mnie, nie wykonał dobrze swojej pracy. Mężczyzna, jakby właśnie też zdał sobie z tego sprawę, niechętnie wysiadł z samochodu, a potem ruszył do bagażnika i wyrzucił moje rzeczy na chodnik. Miał jeszcze czelność czekać na napiwek.

Po moim trupie. Kto normalny pomaga w niszczeniu czyjegoś życia, by następnie spodziewać się podziękowań i studolarówki za wysiłek? Cudem powstrzymałam się przed wybuchem. Wzięłam swoje torby, a potem rozpoczęłam wspinaczkę w stronę budzących grozę dębowych drzwi Wolf Hall. Tysiące stóp, przez lata przemierzających te schody, wytarły ich środkową część, czyniąc marmur niesamowicie gładkim. Byłam jednak zbyt sfrustrowana, by móc czerpać przyjemność z kontaktu z jego powierzchnią.

Gdy dotarłam do ostatniego stopnia, kierowca jeszcze manewrował autem przed budynkiem akademii. Część mnie chciała zostawić bagaże i za nim pobiec. Nie należał do stałych pracowników mojego staruszka, więc nie był mu nic winien. Może gdybym zaoferowała mu parę tysięcy, dałby się przekonać, by podrzucić mnie do innego stanu, z dala od czujnych oczu ojca? Ale nie potrafiłabym błagać. W końcu mam na nazwisko Stillwater, a moja rodzina jest znana ze swojej dumy.

Jedyną szansą na ucieczkę było dołączenie do kierowcy, który odjechał, pozostawiając mnie sam na sam z dwiema mosiężnymi kołatkami przytwierdzonymi do podwójnych drzwi wejściowych. Lewa była w kształcie groteskowego gargulca, któremu z wykrzywionego w dół pyska zwisała pokryta patyną obręcz. Uchwyt po prawej stronie wyglądał niemal identycznie, ale ta rzeźba wykrzywiała się w niepokojącym, przerysowanym uśmiešku, który przyprawiał mnie o zimne dreszcze.

– Co za chory pomysł... – wymamrotałam, chwytając za kołatkę po lewej stronie.

Smutny gargulec nie grzeszył urodą, ale przynajmniej nie wyglądał, jakby miał zaraz wyskoczyć ze swojej oprawy i pożreć mi jebaną duszę. Uderzyłam kołatką o drewno, a po drugiej stronie drzwi rozległ się donośny huk. Dźwięk przypominał uderzenie młotka sędziowskiego, przypieczętowującego los zbrodniarza.

– Nie ma co pukać, otwarte.

Ja pierdolę.

Prawie zesłam na zawał.

Szybko się odwróciłam. Nogi z trudem utrzymywały mnie w pionie, gdy przeczesywałam wzrokiem ciemności w poszukiwaniu właściciela głosu, który mógł stać się przyczyną mojej śmierci. Nie od razu, ale dzięki błyskaniu żarzącego się niedopałka – wyglądało to na końcówkę papierosa – w końcu dostrzegłam skrytą w cieniu postać. Ktoś siedział na krawędzi donicy wykonanej z białego kamienia.

– Jezu, nie wiedziałam, że nie jestem tu sama. – Przycisnęłam dłoń do piersi, jakby to miało uspokoić moje wciąż galopujące serce.

– Domyśliłem się – odpowiedział głęboki głos, który z pewnością należał do mężczyzny, który wypalił więcej niż kilka paczek papierosów w swoim życiu. Mógłby należeć do złodzieja samochodów albo hazardzisty. Ten ktoś zaciągnął się dymem,

a końcówka papierosa ponownie się rozjarzyła, na krótką chwilę oświetlając jego twarz. Tyle mi wystarczyło.

Czarny podkoszulek tajemniczego mężczyzny był zdecydowanie za duży, a on sam wyglądał na znacznie młodszego, niż się spodziewałam.

Zamiast gderliwego, znudzonego życiem profesora w znożonej marynarce z łatami na łokciach, zobaczyłam młodego chłopaka, który mógłby być w moim wieku. Na pewno uczył się w Wolf Hall. Czarne włosy opadały mu na oczy, a grube brwi marszczyły się w wyrazie niezadowolenia. Ze swojego punktu obserwacyjnego na szczycie schodów mogłam zobaczyć go wyłącznie z profilu. Miał prosty nos i wyraźnie zarysowaną żuchwę. Przyjął luźną, wręcz zblazowaną pozę. Zrozumiałam od razu ten niewerbalny komunikat.

Nie potrzebowałam znać jego imienia, by wiedzieć, że był jednym z „nich”.

Tych aroganckich, *cool*, rozpieszczonych. Urodzonych w pieprzonym czepku.

To nieodłączny element bycia dzieckiem wojskowych. Każdego dnia jesteś zmuszany do obcowania z uprzywilejowanymi i doszczętnie zepsutymi, dzięki czemu z daleka rozpoznajesz zgniliznę.

– Rozumiem, że powinnam poszukać kogoś z recepcji? – pytałam słodko.

Nie było sensu wdawać się w dyskusję.

Potrząsnął głową w odpowiedzi, będąc w trakcie ściągania z języka kawałka tytoniu. Jednym pstryknięciem posłał go pod swoje stopy.

– To mnie wybrano na przewodniczącego Komitetu Powitalnego Nowej. Niby z jakiego innego powodu siedziałbym w tych pieprzonych ciemnościach? – powiedział z naciskiem.

Panie i panowie, poznajcie dupka. Cóż za zaszczyt.

Zostawiłam bagaże i z założonymi rękami powoli zesłam po schodach. Stanąwszy tuż przed nim, zauważyłam, że przewyższał mnie przynajmniej o głowę. Nawet gdy się garbił, oparty o donicę, z nogami wyciągniętymi przed siebie, wciąż był ode mnie wyższy.

– Może dlatego, że nie chcesz być przyłapany na paleniu?

Strzepnął popiół z papierosa, a jego usta wykrzywiły się w chłodnym uśmiechu. Wszystko było w nim chłodne: od błysku w jasnozielonych oczach, po sposób w jaki odchylił głowę, przyglądając mi się niczym pantera szacująca wymiary swojej nowej ofiary. Najwidoczniej nieszczególnie mu odpowiadało czekanie na mnie, nie wspominając o tej całej zabawie w gościnność, ale ja przecież nie prosiłam go o oprowadzanie. O nic go nie prosiłam.

– W takim razie wskaż mi drogę do pokoju i zwolnię cię ze służby – burknęłam.

Roześmiał się. Nie było w tym dźwięku nic przyjaznego. Pewnie dziesiątki ludzi zostały już przez niego tak wyśmiane, a każdy z nich czuł się, jakby właśnie dostał bagnietem w głowę.

– Zwolnisz mnie ze służby? – powtórzył. – Spocznij, żołnierzu. Coś czuję, że nasi rodzice by się ze sobą zajebiście dogadali.

Do tego typu szkół nie chodziły wyłącznie dzieci oficerów. Bankierzy, prawnicy, dyplomaci i politycy też pakowali swoje bachory do miejsc takich jak Wolf Hall. Od czasu do czasu trafiał się jakiś zmęczony lekarz albo pracownik pomocy społecznej, dla którego od własnych dzieci ważniejsze było zajmowanie się cudzymi. Uczniowie takich placówek na ogół pochodzili więc z bardzo różnych środowisk, najczęściej jednak ich rodzicami rzeczywiście byli wojskowi.

– Słuchaj, jestem po długim locie, w dodatku takim bez posiłków czy czystej ubikacji. Potrzebuję dwóch rzeczy: prysznic i snu. Możemy przełożyć wszelkie gówniane gadki na inny termin? Po prostu mi powiedz, gdzie mam iść.

Zaciągnął się po raz ostatni, wydychając dym nosem. Pstryknięty pet wylądował w rosnących obok krzewach róż, a mój wzrok przykuły paznokcie chłopaka, pokryte czarnym lakierem z odpryskami. *Dziwne*. Jego koszulka też była czarna, a usposobienie miał niesamowicie drażliwe, ale nie wzięłam go za jednego z tych „emo-typów”. Na nogach miał wysokiej klasy buty z włoskiej skóry, a pasek wyglądał, jakby kosztował więcej niż cały mój strój.

– Przechodzisz przez drzwi. Na lewo masz schody. Czwarte piętro. Pokój numer 416. Powodzenia z ogrzewaniem – wyliczył, prostując się.

Nawet na mnie nie spojrzął. Ruszył przed siebie, ale nie w stronę budynku. Już po chwili szedł podjazdem, z dłońmi schowanymi głęboko w kieszeniach.

– Ej! Gdzie ty się, do cholery, wybierasz? – Nie chciałam za nim wołać, ale musiałam wiedzieć. Tak bardzo mu zazdrościłam, że ot tak sobie stąd poszedł. Zagryzłam język, by powstrzymać się przed zapytaniem, czy mogłabym się z nim zabrać.

– Ha! Chyba nie myślałaś, że tutaj mieszkam – rzucił przez ramię. – A, i nie martw się, nowa. Nie musimy przekładać „tego gówna” na inny termin. Głowa w dół, schodź ludziom z drogi i jest szansa, że jakoś przetrwasz w tym piekle.

Może byłam zmęczona, a może zwyczajnie uprzedzona do Wolf Hall, ale zabrzmiało to jak groźba.

2

ELODIE

Środek Wolf Hall wyglądał tak, jakby ktoś próbował odtworzyć z pamięci wnętrze Hogwartu, ale mu nie wyszło. Gdzie nie spojrzalam, czyhały na mnie mroczne wnęki. Żaden z kątów nie był prosty. Wyłożony parkietem korytarz, którym szłam, zachowany był w surowym stylu. Czułam się, jakbym wylądowała w samym środku jednego z psychodelicznych obrazów Eschera¹. Skręciłam w stronę klatki schodowej na lewo, a następnie naiwnie rozejrzałam się za windą, choć wiedziałam, że w tak starym budynku nie ma co liczyć na tego typu luksusy.

Cicho jak w grobie.

Byłam w wielu starych domach. Skrzypiały, jęczały, a potem cichły – ale nie budynek Wolf Hall. On wstrzymywał oddech, spoglądając na mnie z góry i osądzając, gdy niechętnie wtaszczałam walizkę na pierwsze piętro. Choć z zewnątrz akademia nie wyglądała na szczególnie wysoką, cholerne schody wydawały się nie mieć końca. O ile już na drugim piętrze dyszałam i zaczynałam się pocić, o tyle na trzecim otwarciem walczyłam o każdy oddech. Byłam cała mokra. Wiekowe drzwi ze wstawką z matowego szkła odsłoniły wąski korytarzyk rodem z *Lśnienia*. Słabe światło mrugało złowrogo z sufitu. Ciągnęłam bagaż po zakurczonym, wytartym dywanie, wyliczając jednocześnie w myślach

¹ Escher, czyli Maurits Cornelis Escher – holenderski grafik, uchodzący za najbardziej znanego artystę w świecie nauki. Jego prace są inspirowane matematyką i bazują na zjawisku iluzji optycznej, przez co oszukują nasze zmysły, przedstawiając z pozoru niemożliwe formy. Prace Eschera to przede wszystkim wyjątkowa zabawa perspektywą i przestrzenią (przyp. red.).

wszystkie sposoby, na jakie można umrzeć w tak nawiedzonym miejscu.

Mijając drzwi, zauważyłam przytwierdzone do nich mosiężne numery. Normalnie na ich miejscu byłyby jakieś kolorowe naklejki i tabliczki z imionami – małe akcenty, dzięki którym uczniowie czuli się mniej nieswojo. Ale nie tutaj. Żadnych ozdóbek, zdjęć, plakatów, niczego. Tylko przygnębiająco ciemne drewno i wypolerowane liczby.

410...

412...

414...

416.

Super.

Nie ma jak w domu.

Nacisnęłam klamkę. Na szczęście drzwi pozostawiono otwarte. Pokój był większy, niż się spodziewałam. W kącie stało podwójne łóżko ze świeżo wyprasowaną szarą pościelą, złożoną na rogach w charakterystyczny dla wojska sposób. Tylko dwie poduszki, ale można się było do tego przyzwyczaić. Przy ścianie znajdowała się ogromna komoda, a nad nią ponuro wyglądający obraz z powykęcany staruszkiem, zginającym się pod naporem zamieci. Dziwny wybór tematu na obraz. Wykonaniu nie można było niczego zarzucić – przez zręczność i precyzję ruchów pędzla niemal można by go pomylić z fotografią. Był jednak niesamowicie przygnębiający. Napawał dławiącym poczuciem beznadziei.

Na drugim końcu pokoju znajdowało się duże okno z wykuszem. Rozpościerał się z niego widok na – jak zakładałam – ogrody akademii. Świat spowijały ciemności. Paleta barw ograniczała się do przypominających siniaki fioletołów i granatów, przerywanych smolistą czernią. Mimo to byłam w stanie dostrzec w oddali kontury wysokich drzew, tak nieruchomych, jakby żaden powiew nie był na tyle silny, by je poruszyć.

Zostawiłam rzeczy przy swoim nowym łóżku, po czym poszłam w stronę okna, żeby lepiej się przyjrzeć. Dopiero stojąc tuż przed nim, zauważyłam mroczny, zawity labirynt – w samym środku trawnika, pomiędzy budynkiem a drzewami.

Labirynt? Cudownie. Tego nie było w pieprzonej broszurce.

Musiał być stary: żywopłot był wysoki, wyższy od jakiegokolwiek człowieka, i tak gęsty, że nie dałoby się nic przez niego dostrzec. Na jego widok wstrząsnął mną gwałtowny dreszcz; nigdy nie byłam fanką labiryntów. Plus był taki, że w świetle słonecznym mogłabym z tego miejsca zapamiętać właściwą trasę. Nie żebym planowała wchodzić do tego cholerstwa.

Znalezienie pryszniców nie sprawiło mi większego problemu. Korytarz kończył się dwiema łazienkami o szeroko otwartych drzwiach. Na wyłożonych płytkami ścianach obydwu z nich – *lubię sprawdzać takie rzeczy, okej* – wisiał duży biały znak z napisem: „Maksymalny czas trwania prysznic to trzy minuty. Jego przekroczenie skutkuje karą czyszczenia latryn”.

Czyszczenie latryn? Boże. Było gorzej, niż myślałam.

Przewróciłam oczami, zdjęłam ubrania z podróży i wzięłam prysznic, który trwał zdecydowanie dłużej niż przysługujące trzy minuty. Niby kto się miał o tym, kurwa, dowiedzieć? Poza tym – pieprzyć to. Nie mogli wymagać tego typu gówna od kogoś, kto jeszcze nawet nie został oficjalnie przyjęty do akademii. Użyłam czerwonego, karbolowego mydła, które zwisało z postrzępionego kawałka liny. Zmarszczyłam nos, obiecując sobie, że rano umyję się raz jeszcze swoim żelem. Potem osuszyłam się szorstkim, cienkim ręcznikiem, włożyłam piżamę i z moką głową pobiegłam do pokoju.

Planowałam zafarbować długie blond włosy z powrotem na ciemny brąz. Większość ojców nie chciałaby, by ich siedemnastoletnie córki rozjaśniały włosy, ale pułkownik Stillwater nie mógł znieść mojego naturalnego koloru. Nigdy by tego nie przyznał,

ale zupełnie nie radził sobie ze mną jako brunetką. Za bardzo ją wtędy przypominałam.

Poza zmuszeniem mnie do noszenia kontaktów, nie mógł nic zrobić z błękitem moich tęczyówek. Nie mógł zmienić rozsiągniętych na grzbiecie nosa piegów ani struktury kości tworzących twarz w kształcie serca. Bez zapłacenia sporych pieniędzy jakiegomuś niezwykle utalentowanemu chirurgowi plastycznemu, nie miał też wpływu ani na wysokie kości policzkowe, ani na oczy w kształcie migdałów. Wszystkie te rzeczy odziedziczyłam po matce. Mógł za to uczynić mnie blondynką, więc to właśnie zrobił. A ja nie znośliam nią być.

Będąc znowu w pokoju, po raz pierwszy zwróciłam uwagę na to, jak przenikliwie zimno w nim było. W porównaniu z Tel Awiwem temperatury panujące w New Hampshire przywodziły na myśl klimat arktyczny. Zwłaszcza, że władze Wolf Hall ewidentnie nie uznawały ogrzewania za coś potrzebnego uczniom. Po długich poszukiwaniach w stojącej przy oknie szafie w końcu udało mi się znaleźć popękany i pożółkły termostat. Przekręciłam pokrętkę w prawo, do samego końca, ale nic się nie stało. Staroświecki i wyjątkowo szkaradny grzejnik wydał z siebie jedynie zdławiony odgłos, po czym cały się zatrzęsął, by po chwili całkowicie zamilknąć.

Na szczęście byłam tak zmęczona, że nawet zimno nie mogło powstrzymać mnie przed zaśnięciem.